

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE
 DLA DZIECI.



DZIEWCZE I GOŁĄBEK.

W okienku pełnym kwiatów i zieleń
Stoi dziewczeczka, jak wiosna młoda,
W oczkach jej świeci jasna pogoda,
Na ustach igra uśmiech wesela,
A postać cała wdzięcznie schyłona,
Gołąbka pieści, tuli do łona—

I szeptem z cicha białej ptaszynce:
Czemu chcesz lecieć gdzieś w świat
daleki?

O! zostań przy mnie! zostań na wieki—
Ja ci zbuduję szczęścia świątynię,
Dam ci schronienie, miłość, pieśczęty,
Życie twe przejdzie, jako sen złoty—

Lecz zostań przy mnie! i mojej duszy,
Daj w zamian spokój, ów spokój błogi,
Co wiedzie mężnie przez życia głogi,
Daj siłę, której boleść nie skruszy,
I strzeż mnie, czuwaj, abym została,
Jak ty, gołąbku— czysta i biała. —

Olímpia Skibińska.

POWIETRZE.

— Będzie dziś deszcz, a może i burza, do-
brze, żeśmy do domu uciekli—mówił Kazio,
wchodząc do pokoju i zdejmując kapelusz.
Oboje z Helenką byli na przechadzce w Sa-
skim ogrodzie, ale nauczycielka, widząc, że
się na deszcz zanoszą, śpiesznie powróciła
z nimi do domu.

— Niezawodnie będzie burza—dodała He-
lenka, która tymczasem zdjęła płaszczyk i
kapelusz w drugim pokoju—tak parno, a ta-
kie ciężkie powietrze.

— Ciężkie powietrze—powtórzył ojciec,
uśmiechając się—widocznie nie bardzo się na
tęm znać musisz, bo mój barometr wskazuje
przeciwnie, że powietrze znacznie się lżejsze
zrobiło od rana.

— To dziwna rzecz—mówiła Helenka—jedna pani, co przy nas na ławeczce siedziała, powiedziała do drugiej pani: Ach, jakie to ciężkie powietrze, trudno oddychać, z pewnością burza będzie. Ja wtenczas zaczęłam próbować głębiej odetchnąć i zdawało mi się także, że powietrze jest takie jakies ciężkie, takie ciężkie...

— Może prędkiej ciężko ci było oddychać, właśnie dla tego, że powietrze jest lżejsze.

— Ja bo doprawdy nie rozumiem, co to wszystko znaczy—odezwał się Kazio—ciężkie powietrze, lekkie powietrze; alboż to kto może powietrze zważyć? alboż ono ma jaki ciężar?

— To prawda—dodała Helenka—powietrze, to nie jest przecież żadna rzecz, to nic nie jest...

— O, bardzo przepraszam—przerwał ojciec—mylicie się mocno, jeśli sobie wyobrażacie, że powietrze niema ciężaru. Ono jest przezroczyste, ale wszakże i woda jest przezroczysta, a jednak dzban wodą napełniony daleko jest cięższy od dzbana próżnego.

— O, woda to co innego, ją przecież widzimy i czujemy.

— Powietrze czujemy także oddychając, czujemy je daleko wyraźniej jeszcze, gdy się wiatr zerwie, bo czasem o mało nas z nóg nie zwali. Wtenczas pewnie nie powiesz, że to nic nie jest.

— Alboż wiatr to powietrze?

— A cóżby to innego być mogło. Powietrze składa się z różnych gazów, a gaz jestto płyn nadzwyczaj nikły, rzadki, tak, że go dojrzeć niepodobna.

— Jakto płyn, ojczulku—rzekła Helenka—ja myślałam, że płyn to taka woda.

— Płyn może być dwojaki, jeśli się przelewa tak, jak woda, nazywa się cieczą, ale jeśli płyn się unosi na wszystkie strony, tak, że w żadnym naczyniu utrzymać się nie da, nazywamy go ciałem lotnym, czyli gazem.

— O, ja to wiem, ojcie—rzekł Kazio—nie jestem tak dziecinny, jak Helenka, tylko nie rozumiem, jak to można wiedzieć, że powietrze jest ciężkie i jak to barometr może pokazać, kiedy ono cięższe bywa, a kiedy lżejsze.

— Czy próbowałeś kiedy wciągać wodę

do ust przez rurkę szklaną, lub przez piórko?

— O, nieraz, ojciec.

— Czy potrafisz wytłómaczyć, jakim sposobem woda podnosi się w tej rurce, kiedy ty z niej wyciągasz powietrze ustami?

— Alboż to można wytłómaczyć?

— Zapewne; człowiek, który się zastanawia, stara się wytłómaczyć sobie rzecz każdą i dojść przyczyny wszystkiego. Podobnie, jak ty małą rurką wciągasz sobie wodę do ust, przyrząd, pompą zwany, wielką ilość wody wyciągnąć może ze studni. Tam także z rury wyciąga się powietrze i w miejsce wypowietrzone, próżne, woda natychmiast wchodzi. Bardzo prosty przykład wyjaśni wam przyczynę tego zjawiska daleko lepiej od moich tłómaczeń i opowiadań. Weźmy ten krążek przedziurawiony po środku, położmy go na tej kupce piasku; teraz przyciśniemy mocno krążek i odejmiemy go. Patrzcie, co tu się zrobiło; piasek się osunął pod krążkiem, ale tam, gdzie była dziurka w krążku, pozostała wystająca kupka piasku.

— Ależ to nic dziwnego, ojczulku—rzekła Helenka—bo tam nic nie naciskało piasku.

— Otóż widzisz; tak jak krążek naciska piasek, tak samo powietrze ciężarem swoim naciska wodę w szklance; ale gdy ty z rurki powietrze wyciągniesz oddechem, zaraz w to miejsce próżne tak, jak tam w dziurkę, podnosi się woda i aż do ust twoich dochodzi. W pompie dzieje się toż samo.

— Już teraz rozumiem—rzekł Kazio—ale jakże to na barometrze poznać można, kiedy powietrze jest cięższe, a kiedy lżejsze?

— Mnie się zdaje—mówiła Helenka—że ono musi być zawsze bardzo leciuteńkie.

— Zapewne—rzekł ojciec—ale ciężar zależy od ilości. Kropelka wody jest tak lekka, że nie czujemy jej ciężaru na dłoni, ale wiadro pełne wody już porządnie waży. Wyobraź sobie teraz, że ponad ziemią unosi się powietrzniak czyli atmosfera, sięgająca aż do tych wyżyn, gdzie się ukazują gwiazdki spadające. Ta warstwa powietrza przyciska wszystko na ziemi swoim ciężarem. My sami ten ciężar dźwigamy na sobie, chociaż wcale go nie czujemy.

— Już tegobym się nigdy nie domyślił—

rzekł Kazio—ale czemuż to my tego ciężaru nie czujemy?

— Bo powietrze nietylko z góry na nas ciśnie, ale i z boków i ze wszystkich stron, całe nasze ciało nawet ma w sobie wszędzie pełno powietrza, można powiedzieć, że pływamy w niem wszyscy, jak ryby w wodzie. Ztąd wywiązują się tak doskonała równowaga, że ciężar nam się wcale czuć nie daje.

— Nie przeszkadzaj ty ojcu, Kaziu—powiedziała Helenka—jabym chciała już się dowiedzieć o tym barometrze, jak to on powietrze waży.

— Jeśli chcecie to dobrze zrozumieć, posłuchajcie, jakim sposobem wynaleziony był najpierwszy i najprostszy barometr. We Florencyi, mieście włoskiem, w r. 1630, robotnicy urządzili pompy z długimi bardzo rurami, bo sądzili, że woda zawsze choćby najdłuższą napełni. Pokazało się jednak, że się omylili, bo woda doszła tylko do pewnej wysokości i trzeba było rury skrócić. Nikt jeszcze wtenczas nie wiedział o tém, że powietrze ma jakikolwiek ciężar, ale donyślił się tego młody uczyony, nazwiskiem Torricelli i zaraz takie zrobił obliczenie. Powiedział sobie, że kiedy woda w rurze wypowietrzonej dochodzi wysokości trzydziestu dwóch stóp, to widać, że słup powietrza téj samej objętości, to jest taki, któryby się w téj rurze mógł pomieścić, a wysokością dosięgał aż do krańca atmosfery, musi mieć ten sam ciężar, co ta woda, bo inaczej nie byłoby równowagi. Gdyby więc powietrze było tak ciężkie, jak woda, to atmosfera miałaby tylko trzydzieści dwie stopy wysokości, ale ponieważ jest daleko lżejsze, a wznosząc się coraz wyżej jeszcze coraz rzadsze się staje, więc wysokość całej atmosfery nie może być nawet dokładnie obliczona. Torricelli inne obmyślił jeszcze doświadczenie. Wziął ciecizkę, cięższą od wody, rtęć, metal ciekły, urządził małą szklaną rurkę, z jednego końca szczelnie zamkniętą, napełnił ją rtęcią, przewrócił i zanurzył otwartym końcem w miseczkę, w którą nalał więcej rtęci. Wiedzieć, co się stało? część rtęci z rurki wylała się w miseczkę, w rurce pozostał tylko słupek wysoki na dwadzieścia ośm cali. Przypomnijcie sobie nasz krążek przyciskający piasek. Misce-

zka z rtęcią wystawiona jest na ciśnienie powietrza, w rurce powietrza niema, to też rtęć podnosi się w nią o tyle, ażeby była równowaga. Otóż ten przyrząd, to był najpierwszy barometr. Uczony Francuz, Paskal, dowiedziawszy się o odkryciu Torricellego, taką znów próbę zrobił: wyszedł na wysoką górę i spostrzegł, że rtęć opadła znacznie w rurce, bo słup powietrza na górze musi być mniej ciężki niż w dolinie, a zatem mniej na rtęć w miseczce naciska. Toż samo okazało się nawet na wysokości wieży.

— Tego to już dobrze nie rozumiem—rzekła Helenka—czemuż to na górze i na wieży powietrze ma być lżejsze?

— Bo znaczną warstwę, to jest znaczną część ciężaru pozostawiamy za sobą, wychodząc na górę lub na wieżę, a na rtęć ciśnię tylko powietrze z góry.

— Teraz już rozumiem.

— Za pomocą barometru mierzy się wysokość gór. Rurka jest podzielona na drobne cząstki, na milimetry; jeśli rtęć opadnie na pewną ilość milimetrów, wiadomo ile powietrza ubyło, a ztąd już można obliczyć, ile ma wysokości miejsce, na którym barometr się znajduje.

— Ale jeszcze ojciec nie powiedział, dla czego powietrze robi się lżejsze, kiedy ma być deszcz lub burza—mówiła Helenka.

— Powietrze z różnych przyczyn może się stać radsze; głównie to się wydarza w skutek ciepła; ogrzane powietrze rozpręża się na wszystkie strony i wtenczas rozrzedza się i staje się lżejsze; dzieje się toż samo, jeśli w powietrzu dużo jest pary wodnej, która jest lżejsza od innych gazów powietrznych. Ale wtenczas musi bardzo prędko nastąpić równowaga. Sprobuj nadbierz wody w sadzawce, zaraz dokoła woda się poruszy i napłynie do tego miejsca, aż póki się nie wyrówna. Toż samo i z powietrzem musi nastąpić. Jeśli w jednym miejscu z jakiegokolwiek przyczyny rozrzedzi się powietrze, inne gęstsze i cięższe napływa tam zaraz, powstaje ztąd wiatr, czasem gwałtowna burza, a jeśli jest wiele pary w powietrzu, to się ta para skrapla i spada deszczem na ziemię. Barometr te zmiany wskazuje, jeśli więc powietrze gdzie jest cięższe, to się barometr pod-

nosi, bo ciśnienie jest większe, a spada przeciwnie, gdy to ciśnienie się zmniejsza.

— Ale barometr ojca wcale nie podobny do tego barometru, który sporządził ów Włoch Torricelli — rzekł Kazio — ja tu nie widzę ani rurki z rtęcią, ani miseczki, tylko wskazówkę, jak u zegarka.

— Bo to jest barometr *aneroid*. Pomiędzy dwiema blaszkami, z których on się składa, jest miejsce próżne, wypowietrzone; powietrze ciąży z wierzchu na blaszki, a w miarę czy silniej czy lżej je naciska, wskazówka się posuwa na prawo lub na lewo; jest tam stosowny do tego mechanizm.

— A proszę ojca — rzekła Helenka — czy barometr i termometr to wszystko jedno?

— Broń Boże; barometr wskazuje ciśnienie powietrza, a termometr ciepło i zimno. To wcale co innego.

— Ach, Helenko — mówił Kazio — żebyż już tego nie wiedzieć.

— Jabym bardzo chciała i o termometrze coś ciekawego usłyszeć, jakto on może ciepło i zimno wskazywać.

— Na dzisiaj już dosyć; inną razą najchętniej wam o termometrze opowiem. Nigdy nie trzeba na raz za wiele wiadomości ładować do głowy, żeby nie powstał ztąd zamęt, zamiast korzyści. M. J. Z.

Objaśnienie wzoru do rysunku.

Wzór, który wam dziś podajemy, jest bardzo łatwy, a jednak przerysowując go uważnie, zwłaszcza też powiększając stopniowo, nie mało skorzystać możecie. Wymierzenie i oznaczenie miejsc na okna wykonywa się za pomocą cyrkla i każdy, kto ma stosowny cyrkiel, zrozumie odrazu, jak się wziąć do tego.

GŁODNI I GŁODNI.

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE

przez

Helenę K.

ofiarowana

Leszkowi Dzieduszyckiemu.

O S O B Y:

PANI BRONIECKA.

LOLA (lat 12)

TERENIA (lat 9)

STAŚ (lat 12)

JÓZIEK (lat 8)

ANTOSIA (lat 10)

JANOWA (kucharka).

(Rzecz się dzieje w Warszawie).

(Scena przedstawia jadalny pokój w mieszkaniu pani Bronieckiej. W środku stół nakryty, wszelkie przygotowania do obiadu. Pod oknem niewielki stolik, obok kanapa).

S C E N A I.

STAŚ.

STAŚ (wchodzi w mundurku gimnazjalnym, z książkami w ręku, książki z ruchem niecierpliwym rzuca na kanapę, czapkę na stolik pod oknem). A to nieznośna rzecz, wracam ze szkoły głodny, jak nieboskie stworzenie, a tu jeszcze obiadu niema. To nie do wytrzymania! (woła:) Janowa, Janowa!

S C E N A II.

STAŚ i JANOWA.

JANOWA. (niemłoda już kucharka) Czego panicz tak krzyczy, przecież ja nie głucha.

STAŚ. Czemu obiadu jeszcze niema?

JANOWA. Obiad gotów, ale pani niema i panienki jeszcze nie wróciły.

STAŚ. Że to nikt nigdy nie pomyśli, że ja

z tój utrapionój szkoły wracam zgłodniały; dają mi na śniadanie dwie bułki i 10 groszy i chcą, abym tём żył od 9-tój do 3-ciój. To nie do wytrzymania.

JANOWA. Ej, paniczu, paniczu, nie grzeszylibyście narzekaniem; są tacy, którzy i na cały dzień nie mają dwóch bułek i 10-ciu groszy.

STAŚ. Gadanie tylko!... nie mają bułek, to mają chléb; ja nawet wolę chléb... ale z dobrém masłem, nie takiém, jak to Janowa kupuje.

JANOWA. Już to ja paniczowi nigdy dogodzić nie mogę.

STAŚ. A zresztą, te stare baby i dziady, co to na ulicy żebrzą: (naśladując głos starych żebraków) „Paniczku złoty, od rana nic w ustach nie miałem...“ wiemy, że się doskonale po szynkach posilają. Przytém starzy mniej od nas jeść potrzebują. Naprzykład wy, Janowo, coście dziś jedli?

JANOWA. Piłam herbatę i zjadłam dwie bułki.

STAŚ. A co? nie mówilem! I nie głodni jesteście?

JANOWA. Chce mi się jeść, ale poczekać jeszcze mogę.

STAŚ. A ja, piłem kawę i zjadłem aż cztery bułki, bo mi Terenia jedną ze swoich dała, na śniadanie dwie bułki i kawałek kiełbasy, ot taki tylko, (pokazuje na ręce spory kawałek) i mimo tego jestem głodny, tak głodny, (podbiega do Janowej i otwiera szeroko usta, jak gdyby chciał co połknąć) żebyśmy zjadł Janową, gdyby nie była taka koścista. (chwytając ją za ramiona).

JANOWA (wyrывая się). Co też panicz robi, proszę mnie puścić, rosół wykipi. (słychać dzwonek przy drzwiach wchodowych) Ot już i wracają, niech też panicz otworzy. (odchodzi).

S C E N A III.

STAŚ, LOLA i TERENIA.

(STAŚ drzwi otwiera, wchodzi LOLA i TERENIA z książkami w ręku).

LOLA. Jeszcze obiadu niéma, nieznośna ta Janowa.

TERENIA. Zawsze czekać i czekać trzeba, nigdybym takię kucharki nie trzymała.

STAŚ. Na ten raz to nie Janowej wina, mama z miasta jeszcze nie wróciła.

LOLA. Kiedyż ten obiad będzie? Jeżeli mama poszła z wizytami, to pewnie tak prędko nie wróci.

TERENIA. Może mama kazała bez siebie obiad nam podać.

LOLA. To prawda, trzeba się dowiedzieć. (woła:) Janowa, Janowa!

JANOWA. (za sceną) Zaraz, panienko.

STAŚ. Jestem tak głodny, że się uczyć nie mogę.

LOLA. A ja nie jestem w stanie gamy przegrać.

TERENIA. Mnie mama kazała dokończyć pantofle dla cioci, ale nie mam siły wziąć igły do ręki.

LOLA. (zniecierpliwionym głosem) Czemuż ta Janowa nie przychodzi. (woła) Janowa, Janowa!

JANOWA. (za sceną i gniewnie) Zaraz idę.

STAŚ. (ze złośliwym uśmiechem) Jak widzę, Janowa nie bardzo słucha panny siostry.

LOLA. (z oburzeniem) Jakto nie słucha, musi słuchać, mama to jęj nawet mówiła.

TERENIA. Żeby cię słuchała, jak przychodzisz z jakim rozporządzeniem od mamy; w takim razie to i mnie posłucha.

LOLA. O, bardzo proszę tak nie mówić, bo mnie, jako starszój, musi więcej słuchać, témbardziej wtenczas, kiedy mamy w domu niéma. Zaraz was przekonam.

STAŚ. Poczekaj, ja zawołam, a zobaczycie, że zaraz przyjdzie. (woła głosem, który stara się uczynić grubym i donośnym) Janowa, Janowa!

(przez całą tę scenę panienki zdejmują kapelusze i okrycia, to znowu składają książki, a STAŚ chodzi z rękami w kieszeniach, chwilami zatrzymując się przy siostrach, gdy do nich mówi).

S C E N A IV.

CIŻ SAMI, JANOWA.

JANOWA. (wchodzi z widelcem w ręku, fartuchem twarz sobie ociera, mówi z gniewem) A to skaranie Boskie z temi dziećmi! i czegoż chcecie?

LOLA. (z powagą). Proszę Janowej mówić z większym szanowaniem.

JANOWA. Co mnie tam panienska będzie uczyć, ja muszę wracać do kuchni, bo kotlety mi się przypała.

STAŚ. (podchodzi do niej i krzyczy jej do ucha) Głodni jesteście!

JANOWA. (cofa się) O la Boga! uszy mi pękła! Cóż ja winna, że panicz głodny, przecież pani niema.

TERENIA. Może mama nie kazała czekać na siebie i mówiła, żebyśmy obiad jedli.

JANOWA. (wzruszając ramionami) Nic mi nie mówiła. Panienska wiedzą, że pani nie lubi takiego nieporządku. Zresztą pewnie pani zaraz nadejdzie, wychodząc powiedziała mi: „O 3-ciej godzinie będę z powrotem.“

STAŚ. Dobrze mi o 3-ciej, a już jest.. (wyjmując z pośpiechem zegarek), a już jest... (patrzy na siostry ze zdumieniem) bez pięciu minut 3-cia. Ani myślałem, aby tak wcześniej jeszcze było. Wprawdzie profesor matematyki skrócił swoją lekcję, bo dostał silnego bólu głowy.

LOLA. A myśmy dziś miały godzinę roboty, ale Terenia powiedziała, że ma pilne zajęcie w domu, a i ja z tego powodu wyprosiłam się i dlatego wcześniej wróciłyśmy.

JANOWA. A co, widzicie. A tu krzyku, wrzasku, jak gdyby doprawdy ze trzy dni nie jedli. Tymczasem kotlety się przypała, ale to nie będzie moja wina. (wychodzi).

S C E N A V.

Ciż SAMI prócz JANOWEJ.

(Chwila milczenia, TERENIA poziewa, STAŚ się wyciąga, LOLA na wół kładzie się na kanapie).

TERENIA. To wszystko nie przeszkadza, zem bardzo głodna.

STAŚ. I ja także. Prawdę mówiąc, jestem głodny, jak pies.

LOLA. (skrzywiona) Jakieżbo ty porównania robisz.

STAŚ. A cóż chcesz, żebym powiedział, głodny jak człowiek? No, to będzie głód zwyczajny, tak jak w tej chwili my jesteście głodni: ja, ty, ona (wskazuje na Terenię) a naj-

wyższym stopniem głodu będzie: „Głodny jak pies.“ Przecież wiecie, że psy z głodu zdychają.

LOLA. Oto nam nowość powiedział. Nie tylko psy, lecz i wszystkie inne zwierzęta.

TERENIA. (z westchnieniem). A nawet i ludzie...

STAŚ. (śmieje się) Cha, cha, cha! ludzie zdychają.

TERENIA. Nie dałeś mi skończyć. Chciałam powiedzieć, że ludzie umierają z głodu.

STAŚ. A ja wam mówię, że to facecya. Kawałek chleba zawsze dostać można, a przytém teraz wiemy, że można żyć bez jedzenia czterdzieści dni. Ale prawda, wy panny to nic nie wiecie, co się na świecie dzieje.

LOLA. Proszę, jaki mi wszechwiedzący.

STAŚ. No, powiedz, jeżeli wiesz, powiedz, kto to czterdzieści dni nic nie jadł?

LOLA. Ma się rozumieć, że wiem.

TERENIA. I ja wiem, doktor Tanner w Nowym-Yorku.

STAŚ. (okręca się na jednej nodze i podśpiewuje): „Trafiło się ślepój kurce ziarno...“

LOLA. Stasiu, stajesz się nieznośnym.

STAŚ. Bom głodny, a musisz wiedzieć, moja mądra panno, że Polak kiedy głodny, to zły. Ot, wiecie co, przychodzi mi na myśl urządzić małą facecyjkę Janowej. Świetna myśl! (kłaszcze w dlonie).

LOLA i TERENIA. Co takiego?

STAŚ. Zaraz zobaczycie. Dajcie mi kawałek kredy. Prędko, kredy, Lolu, Tereniu!

(TERENIA szuka, LOLA siada na kanapie).

LOLA. Na co, po co?

STAŚ. Otóż i sam znalazłem. Że też te panny zawsze do niczego.

LOLA. (wstaje z kanapy i zbliża się do niego) Zostaw na później te przymówki, a mów, co ci przyszło do głowy, bo zaczynam być ciekawą?

STAŚ. Położymy się tu wszyscy troje, plackiem na ziemi...

LOLA. Co za pomysł.

TERENIA. Na co?

STAŚ. Dajcież dokończyć.

LOLA i TERENIA. Mów, mów.

STAŚ. Leżąc będziemy plackiem, a nad naszymi głowami wypiszę kredą, wielkimi li-

terami: „Dzieci Bronieckich pozdychały z głodu.“

LOLA i TERENIA. Ach!

STAŚ. Jeszcze nie koniec. Potém zawołamy Janowój, ręczę, że się baba przerazi.

LOLA. Czego?

STAŚ. Jakto czego, (patetycznie), że nas już niema na tym świecie.

LOLA. Cha, cha, cha! a to dobre! A przecież któś z nas ją zawoła.

STAŚ. Masz słuszność. To może na nią zadzwonić?

TERENIA. I dzwonek sam dzwonić nie będzie.

STAŚ. Trzeba coś innego wymyśleć.

LOLA. Ja poradzę. Kładcie się wy dwoje. Ja pójdę do kuchni, za chwilę powrócę. Krzyknę przestraszona, Janowa wbiegnie i wszystko się uda.

STAŚ. Niech cię uściskam, Loleczko, miewasz czasem dobre pomysły. (ściska siostrę z żywością).

TERENIA. Ale zrób tak, żeby Janowa okulary wzięła, bo napisu nie przeczyta i będzie myślała, żeśmy tylko popadali.

STAŚ. Nie bój się, litery będą jak woły, a przynajmniej jak barany. (pisze o ile można dużemi literami: „Dzieci Bronieckich pozdychały z głodu.“)

LOLA. (mówi podczas gdy brat pisze) No, a ja już idę, aby Janowa nie domyślała się, żeśmy się namówili. (wychodzi, Terenia ciekawie przez ramię brata zagląda).

S C E N A VI.

STAŚ i TERENIA.

STAŚ. (po krótkiej chwili milczenia) No, już skończyłem. Kładź się Tereniu.

TERENIA. Nie, ty pierwszy, zobaczę jak to będzie.

STAŚ. Jaka ty zabawna, przecież ja jestem mistrzem ceremonii, więc muszę widzieć, czy symetrycznie będziesz leżeć.

TERENIA. Niech i tak będzie (kładzie się, STAŚ układa jej ręce, sukienkę, potém sam się kładzie; po chwili milczenia podnosząc głowę).

TERENIA. Lola mogłaby już przyjść.

STAŚ. Trzeba jej jakoś dać znać. (chrząka).

TERENIA. Głośniej, (STAŚ mocno chrząka), to nie bardzo wygodnie tak leżeć.

STAŚ. Jaka mi delikatna, może ci dać poduszkę.

TERENIA. Cicho, cicho, już idą.

STAŚ. Tylko Lola.

TERENIA. Ach! to prawda.

S C E N A VII.

Ciż SAMI, LOLA, pani BRONIECKA.

LOLA. (wbiega) Ach! nieszczęście, Janowa, Janowal (wybiega do kuchni, w téjże chwili na progu pokoju staje pani BRONIECKA i ze zdziwieniem patrzy na dzieci).

P. BRONIECKA. Co to takiego?

STAŚ i TERENIA. (zrywają się) Mamo.

STAŚ. Którędy mama weszła.

TERENIA. Tak cicho, żeśmy nie słyszeli.

P. BRONIECKA. Zastalam drzwi otwarte. Ależ czegoście to na ziemi leżeli. (Przygląda się napisowi i czyta półgłosem): „Dzieci Bronieckich pozdychały z głodu.“ (mówi głośno) A to co? czyj to koncept?

STAŚ. Nasz, mammo.

TERENIA. Mów twój.

STAŚ. Wyście się zgodziły.

P. BRONIECKA. Czy twój, czy wasz, wszystko jedno... Tylko dlaczego pozdychały? (wbiega LOLA ciągnąc za sobą Janową).

S C E N A VIII.

Ciż SAMI, LOLA, JANOWA.

LOLA. (do Janowój:) Ależ patrzcie, co im się stało... (sposztrzegłszy matkę i rodzeństwo już na nogach, zaczyna się śmiać) Ot już i po wszystkim, możecie odejść, Janowo, nieszczęście minęło.

JANOWA. A chwala Bogu, że pani przyszła, bo ja już sobie rady dać nie mogłam. Trzy razy musiałam tu przychodzić, i po co? na co? Przyjdzie mi służbę porzucić, jeżeli tak dalej będzie. Już mi głowa pęka. (naśladując głos dzieci) Janowo, z głodu ginę! Janowo, obiadul Janowo, nieszczęściel! A tu będzie prawdziwe nieszczęście, jak się obiad nie uda, ale i święty nie ugotowałby lepiej z takimi dziećmi.

PANI BRONIECKA. No, no, nie gderajcie moja Janowo, zabierajcie się do kuchni i dawajcie nam wagę, bo i ja także głodna. (Janowa odchodzi).

P. BRONIECKA. (do dzieci) A teraz wytłómaczcie mi, co to wszystko znaczy?

LOLA. Staś był bardzo głodny...

STAŚ. A i wy także.

LOLA. A więc i my także; ale że Janowa

okolicach, gdzie głód jest klęską ogólną, jak było np. na Szlązku, a teraz u Kurpiów, ale i po dużych miastach, w Warszawie nawet, wiele jest nędzy, o której nikt nie wie i która doprowadza czasem do głodowej śmierci. (słychać słabe dzwonięcie).

P. BRONIECKA. Stasiu, pójdz zobacz, kto tam jest. (Staś drzwi otwiera, wchodzi dwoje dzieci białych, ubogo ubranych, z koszem bielizny, który z trudnością dźwigają).



Złote rybki.

nie dać jeść nie chciała, umyśliliśmy ją przestraszyć tém, że on i Terenia poumierali z głodu.

P. BRONIECKA. Jak widzę głód był nie mały. Ale dlaczego napisano „pozdychali.“

TERENIA. Bo Staś nie wierzy, aby ludzie mogli umrzeć z głodu.

P. BRONIECKA. Niestety, trudno temu wierzyć, a jednak tak bywa, nie mówiąc już o

SCENA IX.

CIŻSAMI, JÓZIEK i ANTOSIA (stoją przy progu).

P. BRONIECKA. Czego chcecie, moje dzieci?

ANTOSIA. Matka przysłała bieliznę, bo sama przyjść nie może, tak sobie nogę utłukła.

P. BRONIECKA. To chyba nie tutaj, moja dziewczynko, bo ja bielizny do praczki nie oddawałam.

ANTOSIA. (zakłopotana) Matka mówiła: Sien-
na Nr. 9.

STAŚ. To pewnie ten drugi Nr. 9 tuż obok
nas.

ANTOSIA. Musiałam się pomylić. Prze-
praszam państwa, chodź Józiek. (Józiek cały
ten czas stoi nieruchomy, zapatrzony na stół na-
kryty, Antosia chce dźwignąć koszyk, chwieje się
i zatacza, Lola, najbliższej stojąca, podbiega do niej
i podtrzymuje ją).

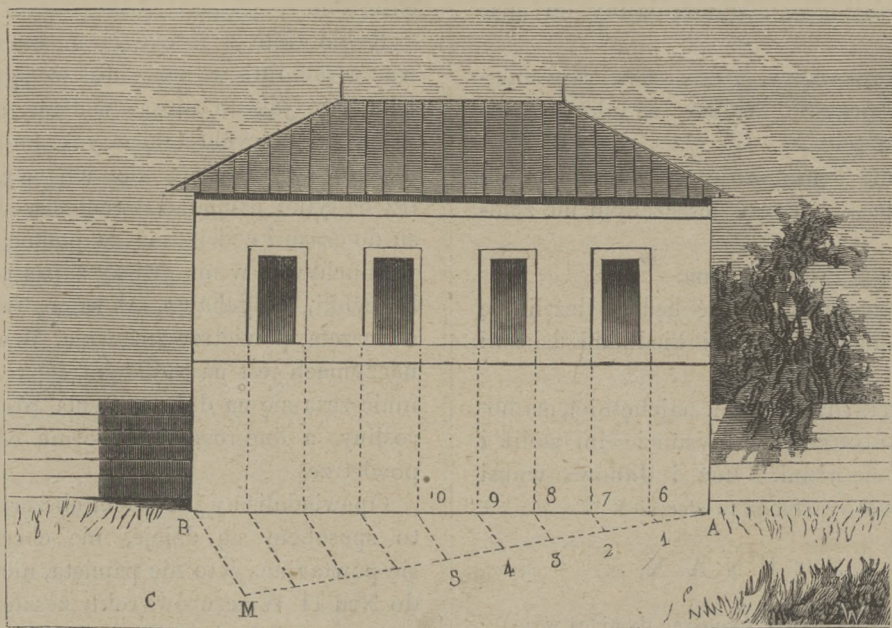
LOLA. Co tobie, dziewczynko?

STAŚ. (podchodząc do Józka) Dlaczego dwa
dni nie nie jadła?

JÓZIEK. (patrzy na niego zdziwiony) Bo chle-
ba w domu nie było. Dziś ostatni kawałek
Antosia mnie dała, bo ja mały, ale i mnie się
jeść chce, oj, i jak chce!

STAŚ. (biegnie do stołu i wraca z kawałkiem
chleba) Masz, jedz. (Józiek je łapczywie).

PANI BRONIECKA. (nacierając skronie Antosi,
potem podaje jej łyżkę rosółu). Sprobuj jeść, to
cię pokrzepi. (Antosia je, spojrzawszy z wdzię-
cznością na p. Broniecką).



Wzór do rysunku.

ANTOSIA. (słabym głosem) To nic, nic, (chce
podejść do koszyka, ale siły ją opuszczają, dzieci
przysuwają jej krzesło).

JÓZIEK. (który na widok siostry zaczyna płą-
kać) Hi, hi, hi... Antosia taka głodna, dwa
dni nie jadła. Hi, hi, hi. (dzieci patrzą na
siebie z przerażeniem).

PANI BRONIECKA. Biedne dziecko. Terc-
niu, biegaj do kuchni i każ przynieść talerz
rosółu. Lolę, wody kolońskiej, trzeba zwil-
żyć jej skronie (dziewczynki rozbiegają się i prę-
dko powracają, Lola z buteleczką wody kolońskiej
pierwój, Terenia z talerzem rosółu późnój).

TERENIA. (do Loli pół głosem) Co ty na to?

LOLA. (tak samo) Że to ona dopiero pra-
wdziwie jest głodna.

TERENIA. Lolę, mnie wstyd wszystkiego,
cośmy mówili i robili.

LOLA. I mnie także.

STAŚ. Co wy tam szepccie?

LOLA. To samo, o czém ty zapewne my-
ślisz.

STAŚ. Teraz już wierzę, że z głodu umrzeć
można.

P. BRONIECKA. (do Antosi, która się ożywia,
do sił przychodzi i rosół ze smakiem sama już do-

jada). Powiedz nam teraz, dlaczegoś tak długo nie jadła?

ANTOSIA. Bo matka nie miała za co kupić ani chleba ani kaszy. Nikt już pożyczyć nie chciał, a trzeba było za ostatnią złotówkę węgla kupić, aby tę bieliznę poprasować. Teraz odnosimy bieliznę i mama nam obiad zgotuje, jeżeli ten pan zechce zaraz zapłacić.

PANI BRONIECKA. A jak nie zapłaci?

ANTOSIA. To tak będzie, jak Pan Bóg da. Matka mówi, że Bóg nikogo nie opuszcza, chyba tych, których chce karać.

JÓZIEK. (płacze) Hi, hi, hi. Obiadu nie będzie.

LOLA. (do matki). Mamo, dajmy im nasz obiad.

PANI BRONIECKA. (z uśmiechem) Nie śmiałam tego uczynić, widząc, że także bardzo głodni jesteście.

TERENIA. Teraz czuję, że mogłabym do herbaty nic nie jeść i jeszczebym nie zemdlala.

STAŚ. A ja do jutra rana.

PANI BRONIECKA. Dość będzie, jeżeli się waszym obiadem z temi biednymi dziećmi podzielicie.

WSZYSTKO TROJE. Jak najchętniej, mamo.

PANI BRONIECKA. Przysunście im stolik i zajmijcie się niemi. Otóż i Janowa wnosi wazę. (dzicci wypełniają to zlecenie).

S C E N A X.

Ciż SAMI i JANOWA (wnosząc dymiącą wazę).

JANOWA. Jak widzę głodnych przybyło, tylko coś mi się zdaje, że tej oto dziewczynce z głodu figle do głowyby nie przyszły.

STAŚ. Bo też, moja Janowo, wiemy teraz, że są „głodni i głodni.“

(Dzieci nalewają zupę, dają Antosi i Józkowi, a tancerz z oznakami wdzięczności i radości po rękach ich całują).

Kurtyna zapada.

K O N I E C.

ZŁOTE RYBKI.

Ładne te stworzenia tak są u nas wszędzie rozpowszechnione, szczególnie po miastach, że niewielu zapewne się znajdzie takich pomiędzy czytelnikami, którzyby ich nie widzieli. W Chinach i Japonii hodują w sadzawkach rozmaite osobliwe rybki, a i nasze złociste z tamąd pochodzą. Te, które są przedstawione na rysunku, różnią się od tych zwyczajnych bardzo ozdobnym ogonem; płynąc wywijają nim zabawnie, jakby wachlarzem.

Rybki złote z łatwością można utrzymać w pokoju, w naczyniu wodą napelnionem, tak, jak to nieraz widzimy na wystawach sklepowych. Okruszyny bulki lub oplatków wystarczają do ich wyżywienia, trzeba tylko pamiętać zmieniać wodę od czasu do czasu i codziennie za pomocą mieszka wdmuchywać w nią świeży zapas powietrza, bo rybki, oddychając, tak samo, jak i inne zwierzęta, powietrze zużywają. W większych naczyniach jest na to daleko lepszy sposób; umieszcza się na dnie naczynia różne wodne rośliny, a one rosnąc, wybornie odświeżają powietrze.

Opowiadaliśmy już o tém obszernie, jakim to sposobem się dzieje, nie chcemy więc się powtarzać. Kto nie pamięta, niech zajrzy do Nru 11 Wieczorów roku zeszłego i odczyta *Opowiadanie naukowe Dziadunia*.

MOJA PIESZCZOTKA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

Terese-Jadwigę.

(*Dalszy ciąg*).

„Za godzinę“ powiedział wódz, miał za tém jeszcze czas do namysłu; wrócił do ogni-

ska, siadł na dawném miejscu i utonął w zadumie. Irenka stała mu ciągle na myśli: wiatr szumiał po polu, a jemu się zdawało, że przynosi jój głos, że jego ukochana pieszcotka woła nań: „Ojczy, wracaj do nas.“ Ogień syczał głośno, a jemu się wydawało, że słyszy strzały na swym dziedzińcu, widzi brodate, straszne postacie zbójców, jak skradają się pod okna, jak wylamują ramy, tłuką szyby, wpadają do izby, mordują, kaleczą służbę i żonę i ukochaną Irenkę. Towarzystwo patrzyło nań, ale pytać nie śmieli, nie chcąc zdradzić przedwcześnie swych zamiarów; badali twarz jego i z twarzy wyczytać chcieli, co myśli czynić, a kasztelan to wzdychał ciężko, to targał węża, to włosy palcami rozgarniał, lecz nic nie mówił. Coraz ciszej było w obozie, ogniska gasły powoli, rycerze jeden za drugim kładli się na spoczynek, ale kasztelan nie ruszał się z miejsca, patrzył w ogień i dumał, a ci, którzy chcieli wiedzieć, co postanowi, siedzieli także. Wtém wśród ciszy nocy rozległy się ciche dźwięki trąbki, hasło północy. Kasztelan podniósł się.

— Et, co mi tam—rzekł—ojczyzna najpierwsza, dla niej i pieszcotkę poświęcę.

Ale serce czuło jakos inaczéj, dwie lzy grube ukazały się w jego oczach; otarł je wszakże spiesznie rękawem, jakby się ich zawstydził.

— Panowie bracia — przemówił głośno, głuszac gwałtem uczucia serca—dosiądźcie koni, pojedziemy na zwiady, tak wódz kazał, w wojnie przedewszystkiem posłuszeństwo.

I nie patrząc, co inni uczynią, poszedł po konia, towarzysze za nim podążyli. W kilka sekund potém oddział, złożony z dwudziestu zbrojnych rycerzy, cicho, ostrożnie skradał się w stronę, gdzie powiadano, iż Wołoch obóz rozłożył. Kasztelan postępował przodem, tuż przy nim jego pacholek, piętnastoletni chłopiec, brat mleczny Irenki, ulubieniec kasztelana, za nimi parami rycerze. Na niebie gwiazdy świeciły, na ziemi ciemno było całkiem, konie strzygły uszami i cicho stąpały, jakby zgadując życzenia panów. Naraz kasztelan ściągnął wodze rumakowi, wyciągnął przed siebie rękę:

— Mamy ich—szepnął.

Spojrzeli inni, zdała widniały białe namioty, a moc ich była niezliczona, na milę chyba się rozłożyli. Kasztelan skinął na swoich i skręcili w prawo, by ominąć czaty; weszli w bór ciemny, gęsty: żółte igły sosen i martwe gałęzie, które jeszcze jesienią wiatr strącił, trzeszczały pod kopytami koni, lecz szum drzew zagłuszał ten szelest, szerokolistne paprocie uginały się powolnie, by potém znowuż się podnieść; oni posuwali się niepostrzeżeni przez nikogo, posuwali się coraz dalej i dalej; czarna noc i wysokie pnie drzew ich kryły; wróg ani się domyślał, że go ktoś podpatruje, puszczyki i sowy ze szczytów drzew widziały ich tylko, tylko gwiazdy, co nad nimi w górze świeciły. Po chwili kasztelan znowuż konia zatrzymał, teraz cały obóz miał jak na dłoni, namioty, bronie, konie, wszystko mógł obliczyć dokładnie... Widok wroga zbudził inne uczucia w jego sercu, zapomniał o córce, o żonie, o domu, krew rycerza odezwała się w nim; byłby ochotnie rzucił się z garstką, jaką miał za sobą, na śpiących; ale niewolno jest bez pozwolenia hetmana działać, więc obliczywszy siły wroga, dał znak do powrotu... I znowuż cicho, powoli, puścił się oddział przez bór, a kasztelan, jadąc przodem, rozmyślał o jutrzejszej wyprawie i już widział, jak ścierają się szyki, jak Wołoch pobity umyka i cieszył się w duszy zwycięstwem i o Kafunku i Minkwicu zapomniał całkiem.

Hetman podziękował serdecznie kasztelanowi, iż tak dobrze wywiązał się z polecenia, wydał rozkazy do wyprawy: Z rannym braskiem miały ruszyć szyki w drogę; więc nie zdejmując sukien, pan Zawistowski rzucił tylko żelazny hełm i stalową koszulkę, poczem padł w namiocie na skórę niedźwiedzią i usnął niebawem twardo. Ale sen odbił mu żywiej jeszcze w wyobraźni niepokoje, których doznał z wieczora. Widział Irenkę skrwawioną, widział matkę łamiącą nad nią ręce z rozpaczą, i zdało mu się, że słyszy biegania służby, nawoływania do obrony dworu, lament kobiet, klątwy mężczyzn... Nagle, ktoś tak wyraźnie krzyknął mu nad uchem: „Panie kasztelanie,“ iż porwał się z posłania, pewny, że w domu się znajduje,

że mu dają znać, o napadzie Kafunka. Przetarł oczy, spojrzął, przed nim stał Balicki.

— Koń wasz już czeka przed namiotem, hetman wzywa, byśmy się zbierali—mówił do nawpół przytomnego jeszcze kasztelana. Ten zrozumiał teraz dopiero, gdzie jest, czego żądają od niego.

— Milcz, serce—szepnął sam do siebie. I powstał, przywdział koszulkę stalową, hełm włożył na głowę i wyszedł przed namiot. Słońca widać jeszcze nie było, ale już gwiazdy znikły, już szary świt rozproszył ciemności nocy, a ludzie kręcili się żwawo. Co żyło w obozie stało u ognisk, jedząc, gwarząc, a przed namiotem wodza widać było gromadkę, zajętą gorącą jakąś sprzeczką, nad innymi górowała poważna postać hetmana.

— O cóż im idzie?—zapytał kasztelan, zbliżając się do wojewodzica Pozarskiego, który stał przy jednym z ognisk.

— Radzą niektórzy, aby zwinąć obóz i cofnąć się; podobno Petryłło wojewoda ma dwadzieścia tysięcy ze sobą, nas tylko cztery, kto wie, czy racyi nie mają.

— A hetman co powiada?

— Jeszcze nie wiem, chodźmy się dowiedzieć.—I posunęli się obaj ku gromadce; właśnie gdy do niej dotarli, wódz zabrał głos.

— Nie daj tego Boże, abym tył nieprzyjacielowi, niewidząc go, podawać miał; tu albo umrzeć, albo wygrać—mówił z przejęciem.

— Słusznie, słusznie—odezwało się kilka głosów—umrzeć albo wygrać!

— Umrzeć, albo wygrać—pochwycili dalej stojący i po całym obozie rozległo się:—umrzeć albo wygrać!—kasztelan razem z innymi powtórzył także te słowa, garstka tylko przeciwnych milczała. Na twarzy wodza wybiło się zadowolenie.

— Nie pójdziemy naprzeciw wroga—mówił dalej—gdy nie jesteśmy dość silni na to. Mam wieści pewne, że Petryłło idzie ku nam, przygotowujemy się na przyjęcie go... Niech młodzi biorą za rydle, trzeba obóz wałami otoczyć, starsi niech zachowają siły do walki.

Zaledwie skończył mówić, młodzież porwała za motyki i zajęła się sypaniem wałów,

kasztelan, choć się do młodzieży nie liczył, lecz ponieważ lękał się być bezczynnym, aby mu Irenka znowuż na myśl nie przyszła i ochoty do boju nie osłabiła, pobiegł za nimi. Niebawem wały były gotowe, tymczasem inni pospinali wozy i ustawili je przed wałami, poczem hetman ustawił szyki: w pół obozu na placu kazał stanąć jeździe kozackiej, za tymi husaryi, na wozach strzelców umieścił, następnie objechał cały obóz, zachęcając rycerstwo do dzielnej obrony, obiecując zwycięstwo.

Właśnie skończył przemowę, gdy zdala ukazały się tumany kurzawy, na ich widok krew zawrzała w żyłach żołnierzy, domyślając się za nimi nieprzyjaciół, chcieli wozy rozerwać i biedz naprzeciw, ale hetman surowo zabronił, grożąc śmiercią temu, coby rozkazy przełamał. Tymczasem Petryłło, zbliżywszy się tak, iż mógł dobrze widzieć obóz Tarnowskiego, kazał się zatrzymać swoim. Pięćdziesiąt dział ciągnęli z sobą Wołosi, gospodar polecił ustawić je na froncie, poczem dał znak do szturm. Zadrzało powietrze od wystrzałów, padło kilku strzelców, stojących na wozach, ale to nie odebrało ducha drugim; natychmiast inni miejsce poległych zastąpili i na wystrzały odpowiedziano wystrzałami... około pięciu godzin trwała ta strzelanina; kule, przedzierając się ze świstem przez powietrze, siały śmierć z obu stron, tu i tam padali ludzie, tu i tam, gdy jedni znikali, drudzy stawali na ich miejsce. Widząc wszakże, iż tym sposobem nic nie dokona, Petryłło zaniechał szturm działami, a wybrawszy jeden oddział, złożony z samych zuchów, kazał mu uderzyć na prawe skrzydło, które zdawało mu się słabszem. Stali tam na czele Balicki, co to z wieczora przybył do obozu i Andrzej Trojanowski, a z nimi ludzie należący do ich chorągwi. Wołosi natarli dzielnie, ale Balicki tchórzem nie był, niezłakł się przeto i rzucił śmiało na wroga; zaledwie parę kwadransy upłynęło, Wołosi odparci zostali. Wtedy drugie rotę wystąpiły, te uderzyły na prawe skrzydło, ale i tu mężnych nie brakło; Mikołaj Sieniawski, Maciej Włodek, Prawdzic, którzy czoło owego skrzydła stanowili, z ochotą bój przyjęli. Półtorej godziny bitwa trwała i

znowuż odparci Wołosi wrócili do wodza swojego.

— Ach, kasztelanie, z jakążbyś ochotą wozy przeskoczył i rzucił się na nich—odezwał się młody Pożarski, który należał do tych, co w pośrodku stali.

— W wojnie przedewszystkiem posłuszeństwo—odparł mu kasztelan—i mnie na ochocie nie zbywa, a przecież czekam, aż rozkaz dostanę.

Wtém głos hetmana rozległ się w powietrzu.

— Niech wszystkie razem szyki na wroga uderzą!

Kasztelan wesa pokreślił.

— Nareszcie—rzekł Pożarski i obaj ścisnęli konie ostrogami i za innymi pomknęli, cały obóz rzucił się na nieprzyjaciela... Zmięszani tym niespodzianém uderzeniem, Wołosi, zamiast opór stawić, cofać się zaczęli; próżno Petryłło nawoływał, zachęcał, ani słuchać chcieli. Widząc nakoniec, iż nic nie poradzi, sam z koniem zawrócił i w ucieczce szukał ocalenia życia. Ale wojska hetmańskie niezadowolniły się tryumfem odniesionym, długo jeszcze ściagały pierzchające hufce, bijąc je w pogoni, lub do niewoli chwytając tych, co uciec nie zdołali. Dopiero kiedy ich zagnali daleko od obozu, od namiotów i dział swoich, dopiero wtedy na głos hetmana wrócili wojownicy, a podzieliwszy się łupami zdobytymi, pomyśleli o spoczynku. Hetman zatrzymał sobie jeńców, działa i chorągwie, resztę łupów wojsku oddał. Niebawem cisza zaległa obóz, strudzeni żołnierze legli chętnie na spoczynek i kasztelan poszedł za innymi; usnął także snem głębokim, ale téj nocy już nie marzył o Irencie, o domu, o zbrojcach, tylko o Wołochach.

(d. c. n.)

PRZYGODY

NIEUSTRASZONYCH PODRÓŻNIKÓW

W PUSZCZACH AFRYKAŃSKICH.

(Dalszy ciąg).

— Wszystko więc dobrze.

— I źle i dobrze, jak mówiłem. Źle jest,

bo senat w Rio zatwierdził prawo znoszące handel niewolnikami i surowe kary wyznaczyl za przekroczenie zakazu. Z drugiej strony niema złego, coby na dobre nie wyszło, bo jeśli senat zabrania handlu niewolnikami, a obywatele kupować ich nie przestają, towar musi pójść w górę, z powodu tego utrudnienia; to też ceny niewolników się już podwoiły. W własnym interesie nie powinienem ci tego mówić, kapitanie, ale z tobą działam zawsze otwarcie, a teraz potrzebuję większego ładunku niż zwykle.

— Na okręcie mam tylko miejsce na czterystu murzynów.

— A ja mam już tyle zamówień, że potrzebaby mi co najmniej sześciuset.

— W takim razie można ich trochę ścisnąć. Mam teraz felczera na okręcie.

— Oho! Rontonak po pańsku widzę się urządza.

— O, to się bez niego urządziło... ale, ileż pan nam zapłacisz?

— Po trzy tysiące franków od sztuki, pod warunkiem, że wszyscy będą w dobrym stanie zdrowia dostawieni. Kobiety z małemi dziećmi o pięćset franków drożej.

— Zgadzam się—odparł Noel—więc rzecz skończona. Nazywają nas łotrami, a jednak oto w téj chwili zawarliśmy umowę na parę milionów, wprost tylko na słowo.

— Ba! prawo nie może nam dać żadnej rękojmi w takiej sprawie, możemy więc tylko na własną uczciwość liczyć... A kiedyż mi mój towar dostawisz, kapitanie?

— Miesiąc żeglugi tam, czterdzieści pięć dni na powrót, bo będziemy mieć wiatr przeciwny, na miejscu zabawę nie więcej, jak trzydzieści sześć godzin, a zatem będę tu pomiędzy 20 i 25 Listopada. Gdybym się spóźnił, gotów jestem pod koniec podróży śrubę przyprawić, byle już raz tę sprawę załatwić.

— Więc rzecz skończona—powiedział teraz don Joachim—szczęśliwej drogi, kapitanie.

— Do widzenia, don Joachimie.

Po tém krótkiem pożegnaniu, handlarz brazylijski powrócił do swojej łódki, i szybko się oddalił, a nim dopłynął do brzegu,

już Osa na nowo rozwinęła żagle i puściła się w drogę ku brzegom afrykańskim.

W miesiąc niespełna, według obliczenia kapitana Noela, statek przybliżył się do przylądka Negro na wybrzeżach Bengueli przed zachodem słońca, kierowany przez doświadczonego sternika, zapuścił się w wążką i krętą odnogę, wchodzącą na miłą przynajmniej w głąb lądu. Po obu stronach ciemniał las gęsty, nietknięty jeszcze siekierą. Była to przystań zwana Rio das Mortes. Wybornie ukryta i zabezpieczona przed ciekawością okrętów, krążących na pełnym morzu, Osa zarzuciła tu kotwicę o zmroku. W kilka minut później, agent Rontonaka, zamieszkały w nadbrzeżnej osadzie, wchodził na pokład.

Téj nocy pasażerowie Osy niezwykle odgłosy słyszeli wśród ciszy panującej na statku. Z głębi lasu odzywał się chór przeraźliwy, w którym mieszały się dzikie i żalosne krzyki ptaków nocnych, wycie szakali, ryk tygrysów i przeciągłe nawoływania słoni.

VII.

Benguela.

Zatoka, w której Osa już po raz czwarty zarzucała kotwicę, znajdowała się powyżej przylądka Negro, i przytykała do brzegów krainy zwanéj Benguelą. Cały zachodni obszar lądu afrykańskiego, pomiędzy równikiem i 19-tym stopniem szerokości geograficznej, od Gabunu do przylądka Frio, nosi ogólną nazwę Kongo. Granice tego kraju nie są jednakże ściśle oznaczone na mapach, bo i dziś jeszcze Europejczycy nie znają dobrze środkowej Afryki, chociaż w ostatnich czasach kilku śmiałych podróżników przeszło ją całą w poprzek od wschodniego do zachodniego wybrzeża. Kilka lat temu nie wiadano jeszcze o istnieniu ogromnej rzeki Ogue, wpadającej do oceanu Atlantyckiego, poniżej przylądka Lopez. Źródła jej dotąd nie odkryto.

Portugalczycy utrzymują, że oni najpierwsi dostali się do Kongo, Francuzi sobie znów przypisują odkrycie tego kraju; to pewna, że Francuz, Jakób Cartier, już w XVI wieku prowadził handel z krajowcami tamtejszymi,

Portugalczycy zaś dopiero znacznie później, w r. 1659, założyli pierwszą osadę na tém wybrzeżu. Paweł Diaz, synowiec sławnego Bartłomieja Diaza, który odkrył przylądek Dobrej Nadzici, wybrał się z trzema okrętami i zawinął do brzegów kraju Angola. Przyjęty był bardzo przyjaźnie przez króla, dopomógł mu do zwalczenia nieprzyjaciół i zaskarbił sobie jego wdzięczność. W parę lat później Diaz przybył tu ze znaczniejszymi siłami i założył nad brzegiem morza miasto St. Paolo de Loanda. Z początku żył w przyjaznych stosunkach z królem kraju Angola i zawarł z nim przymierze, ale gdy ten zawiódł jego zaufanie i kazał zamordować kilku Portugalczyków, Diaz wypowiedział mu wojnę, a zwyciężywszy go, zmusił do uznania zwierzchnictwa króla portugalskiego. Przedsiębiorczy ten człowiek przez lat czternaście przebywał w tym kraju z garstką towarzyszy, równie jak on odważnych, wśród dzikich władców, których umiał utrzymać w karności i stał się panem całego wybrzeża Benguela. Umarł on ze zmartwienia, dowiedziawszy się o porażce oddziału, który wyprawił przeciw dzikim krajowcom. Zwłoki jego złożono w kościele w St Paolo de Loanda.

Diaz zwał się gubernatorem króla portugalskiego i następcy jego tytuł ten nosili. Jeden z nich, Hieronim d'Almeida, zasłyszawszy o bogatych kopalniach srebra w głębi kraju, wybrał się w r. 1589, na czele oddziału wojskowego, chcąc je zagarnąć, ale choroba zmusiła go do odwrotu. Przez lat dwieście kopalnie te ustawicznie były przedmiotem chciwości Portugalczyków, nigdy jednak zdobyć ich nie mogli, nigdy im się nie udało rozciągnąć panowania swego w głąb lądu i zawsze tylko w bliskości brzegów trzymać się musieli. Przez cały ten czas Portugalczycy prowadzili na wielką skalę niegodziwy handel niewolnikami i zaopatrywali wszystkie targa tym towarem. Murzyni z kraju Kongo, wywożeni tysiącami corocznie, wzbogacili osady portugalskie w Brazylii. Holendrzy, którzy także potrzebowali niewolników do swoich amerykańskich kolonii, usiłowali wyprzeć ztąd Portugalczyków, ale sami wkrótce pokonani zostali.

Zniesienie handlu niewolnikami zniszczyło zupełnie Portugalią, zachwiało przewagę jej na morzu i pozbawiło ją głównego źródła bogactwa. Słuszna to była kara za niegodziwy frymark ludźmi i tysiączne nieodłączne od tego okrucieństwa.

Kongo, zwane także krajem hebanu, dzieli się na cztery państwa, noszące nazwy: Loan-go, Kongo właściwe, Angola i Benguela. Dwa pierwsze zupełnie są niezależne, Angola i Benguela przynajmniej przy brzegu morskim podlegają Portugalii, która tu posiada dwa znaczniejsze miasta. Benguela dzieli się na mnóstwo drobnych państweczek, a te ustawicznie walczą z sobą, najczęściej o niewolników i Portugalczycy zwykle ich sami do tego pobudzają. Dotąd oni nie zaniechali handlu, który ich przez tak długie lata wzbogacał, a brzegi Bengueli są do tego najdogodniejsze. Znakomity podróżnik Dauville ciekawie szczegóły podaje o tym handlu. Każdy, kto przyprowadza niewolników na sprzedaż, musi mieć najpierw upoważnienie od miejscowego królika, który w tej okolicy nazywa się *Sowa*. Łatwo jest bardzo to pozwolenie otrzymać, zwłaszcza, jeśli się trzyma w rękę butelkę z rumem. Handlarz wyprawia następnie swój towar na targ, leżący za miastem. Jest to przestrzeń obszerna; obok placów, na których się odbywa sprzedaż niewolników, pobudowane są domy, gdzie ich zamykają na noc, ogródki warzywne, wreszcie magazyny na inne rozmaite towary. Każdy plac, z osobnemi, należącemi do niego zabudowaniami, nazywa się *pombo*.

(d. c. n.)

Z a g a d k a. (R. J.)

Znaleźć mnie trudno,
Zachować nudno,
Wyjąć z ukrycia,
To zbawić życia.

Łamigłówka krzyżyk. (A. J.)

Ułożyć na krzyż dwie nazwy miast, jedna z siedmiu liter, druga z pięciu; trzecia litera wspólna obu nazwom. Pierwsze miasto we Włoszech, drugie na Litwie.

Łamigłówka zgłoskowa. (A. H.)

Z następujących zgłosek: a—b—li—n—br—ch—mi—e—l—do—e—el—fa—i—i—li—on—~~tu~~—~~na~~—~~nik~~—~~or~~—ra—ra—ra—~~rew~~—~~ta~~—~~ti~~—wen—wie—za—ułożyć 11 wyrazów: 1) Miasto w Polsce. 2) Rzeka w Europie. 3) Rzeka w Polsce. 4) Ptak. 5) Wielki malarz. 6) Wyspa. 7) Znak zasługi. 8) Naród starożytny. 9) Miasto starożytne. 10) Miasto w Polsce. 11) Miasto w południowej Europie. Pierwsze litery, od góry do dołu, stanowią nazwisko poety polskiego, ostatnie, w tym samym kierunku, jego utwór.

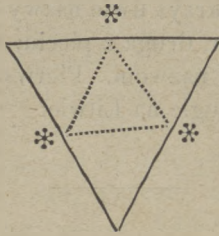
Rozwiązania do Numeru 19-go.

Szarady: An - to—ni - na.

Łamigłówki w kwadraciku

A	D	A	M
D	A	M	A
A	M	O	R
M	A	R	A

Zagadki geometrycznej.



Łamigłówki kryształowej:

B
 G R A
 B R O N A
 B R O D Z K I
 G R Z Y B
 O K O
 I.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Antosiowi J. w Niszowcach. Wiadomość o zupełnym powrocie do zdrowia, stwierdzona listkiem własnoręcznym, niezmiernie nas ucieszyła; serdecznie dziękujemy za ten listek, drżącą jeszcze rączką napisany. Nowe zagadki bardzo się nam przydadzą i chętnie je zamieścimy.

Anlice J. w Niszowcach. Cieszymy się, że *Bohaterka z nad Szreniawy* tak zajęła młodych czytelników; wkrótce rozpoczniemy drugą powieść tej samej autorki. Przygody

nieustraszonych podróżników będą coraz ciekawsze i przeciągną się jeszcze dość długo. Radzibyśmy w *Pisemku* naszym połączyć rzeczy pożyteczne z zabawnymi; nie łatwe to zadanie, ale w tej pracy, nieraz bardzo mozolnej, prawdziwą osłodą i zachętą jest zyczliwość kochanych korespondentów naszych, której dowody odbieramy w takich miłych listkach.

Maryni K. Rozwiązania wszystkie są trafne, ale już nieraz powtarzaliśmy, że odgadnięcie łamigłówki nie jest koniecznym warunkiem do napisania listku. Zdziwiło nas bardzo pytanie, czy w *Wieczorach Rodzinnych* nie będzie żadnej powieści, oprócz *Tajemnicy Starego Dworu*. Wszakże w roku bieżącym zamieściliśmy już dłuższą powieść pani Krakowowej, a obecnie drukuje się *Moja pieszczołka* Teresy Jadwigi. Oprócz tego było także kilka krótszych powiastek.

Władysławowi R. Z rozrzwieniem odczytaliśmy listek serdeczny i życzenia, nadesłane ze stron dalekich, gdzie zima taka długa, a lato trwa tylko kilka tygodni. Jakż to podróż ogromną odbywa nasze *Pisemko*, nim się dostanie do rąk trojga miłych dzieci, które je z taką przyjemnością czytają. Pierwszy arkusz powieści odsyłamy, ale w 3-cim i 5-tym Nrze niema wcale dodatku, który jest tylko do parzystych Nrów dołączany. Łamigłówkę zgłoszkową zamieścimy troszkę później, kryształowa prawie takż sama była niedawno drukowana w *Przyjacielu Dzieci*.

Ulei Gr. Szarada wybornie odgadnięta, i była rzeczywiście dowcipnie obmyślona, nie dziw, że się kochanej czytelniczce podobała.

Karolei Gr. Nigdy się to jeszcze nie wydarzyło, ażebyśmy na listek nie odpowiedzieli; musiał więc chyba na poczcie zaginać, a może tylko odpowiedź dla braku miejsca troszkę się spóźniła. Kryptograf wyborny i zagadka takż, dziękujemy. Co się tyczy tłumaczeń, tych wcale w *Pisemnie* naszym nie zamieszczamy; w ogóle mamy na rok bieżący tak wielki zapas przygotowanych rękopisów, że nie możemy przyjmować nowych. Na rok następny zamierzamy rozszerzyć ramy naszego *Pisemka*, obecnie troszkę za szczupłe, a wten czas będziemy mogli zadowolnić wszystkich czytelników, i starszych i młodszych.

Tręść.—Dziewczę i gołąbek, wierszyk, (z drzeworytem), przez Olimpię Skibińską.—Powietrze, przez M. J. Z.—Objaśnienie wzoru do rysunku, (z drzeworytem).—Głodni i głodni, komedyjka w jednym Akcie, przez Helenę K.—Złote rybki, (z drzeworytem).—Moja pieszczołka, (powieść historyczna), przez Teresę-Jadwigę, (dalszy ciąg).—Przygody nieustraszonych podróżników w puszczech Afrykańskich, (dalszy ciąg).—Łamigłówki.—Rozwiązania.—Odpowiedzi od Redakcyi.

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznik* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinnie. *Kwartalnik* Rs. 1 i kop. 2½, *Miesięcznik* kop 34 i pół. Na Prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: *Rocznik* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27½, w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki. We Lwowie u Gubrynowicza Schmidta *Rocz.* 7 złr. 20 cent. *Kwart.* 1 złr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 złr. 80 cent. *Kwart.* 2 złr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 złr. 60 cent. *Kwart.* 1 złr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 złr. *Kwart.* 2 złr.

Biuro Redakcyi: Ulica Ś-to-Krzyżka Nr. 14.

Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Мая 1881 года.—Redaktorka i Wydawczyni Ludwika Hauke.

Czcionkami M. Ziemkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.